Lwów 26. Lipca. №88. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4**Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal.**1** Zł. **20**kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za na step- po**1** ½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

XII.

OŚWIADCZENIE.

(Ciąg dalszy.)

— O jakże się masz, krzyknęła Julja, przyskakując do niego i biorąc go za rękę, jakże się masz mój kochany nauczycielu! co za niespodzianka dla mnie! Jakże mnie pan jesteś potrzebny w tej chwili... o, bo serce moje czuje się jakoś tak osierociałem! tak osamotnionem!...

Tutaj pociągnęła go do salonu, a usiadłszy przy fortepianie, przysunęła mu krzesło blisko siebie.

— Tu siądź pan przy mnie! ach ileżbym panu miała do mówienia!... Ale najprzód, napisałeś pan co pod wrażeniem uczuć rodzinnych, widząc to miejsce, gdzieś pan śnił złote sny dziecka?... Ach sen to szczęście! bo świat, panie Robercie, to zimny, zabalsamowany trup wieków kilkunastu! a gdy wyciągniemy rękę po jego serce, nadybiemy gady i płazy...

Robert spojrzał w oczy fantastycznej dziewczynei, i ujrzał, że tam coś migotało, coś, czego jeszcze nigdy u niej niewidział. Ale biedny poeta wyłożył to sobie na swoją korzyść, a ulegając pod nawałem uczuć, niewiedział co mówić, i co myśleć. Machinalnie wydobył z kieszeni zwitek papieru i oddał go Julii. Była to krótka poezja, napisana na poddaszu w chwilach jego bolu. Julia przebiegła papier oczyma. Zrazu widać było na jej twarzy wielką radość i zadowolnienie, po chwili, odczytując drugi raz, ściągnęła się jej piękna brew w łuk złamany, na jasnem i pogodnem jej czole osiadła lekka chmurka. W oku tylko pozostał dawny, nieodgadniony wyraz.

— Och ileż to uczucia! ozwała się po chwili niby w zamyśleniu, jak ślicznie to napisane, jak żywo, a jaka prawda! Nigdy tak ładnie pan się niewyraził w tym sposobie.. jak Byron pisze.. Ale zapomniałam, dodała żywo, że sama tylko z przybycia pana dotąd się cieszę, a moja mama o niczem niewie! Pójdźmy do niej!

Robert szedł bo mu kazano, a gdyby nawet i na brudne dno sadzawki mineralnej, niebyłby się wcale namyślał. Matka Julii przyjęła go również serdecznie. Rozmawiano długo i wiele, a nawet na obiad go zatrzymano. Było to niesłychane dotąd wyszczególnienie biednego poety. To też uderzony takiem szczęściem, które nad jego siły było, zapragnął swobodnego ustronia, gdzieby to szczęście mógł wspomnieniem w sercu odżywić, i je zwolna spożywać. Lękał się nawet jakiegoś rozczarowania, a wolał pożegnać się, unosząc tak widoczną nadzieję, niżeli czekać na jakie fatalne zdarzenie, któreby mu mogło popsuć tak drogo okupione uczucie szczęścia. Owóż pożegnał miejsce szczęścia swego, by wrócić do towarzysza, a z nim do swego zawodu, który jedynie miał jego dzieło ukoronować.

Jakże inaczej wydała mu się teraz ta sama droga i okolica, w której on pierwej tyle widział sprzeczności!

Po lewej stronie snuło się to pasmo gór, ale w tak symetrycznych zygzakach, jakoby ich grzbiety wyprostowały się pod wpływem wody mineralnej. Na czuprynie góry czerniał się las dębowy, a fatalna niegdyś łysina służyła teraz do urozmaicenia krajobrazu. Zapadłe boki góry suchotniczej wypełniły się jakoś, a bijący z pod żeber zdrój krzyształowy mruczał dzisiaj poważnie jak uczeń skarcony. Nawet buki niemiały dzisiaj tej nadzwyczajnej grubości, a sosny zgrubiały o wiele. Słoma, na której siedział, wydawała mu się teraz jak wieńce Cerery, a świst batoga i turkot kół, jak najcudniejsza symfonia!...

O serce, jakże mamisz zmysły nasze!..

XIII.

POJEDYNEK.

Zaledwo Robert ukazał się w alei do pałacu prowadzącej, wyszedł naprzeciw niemu stary sługa z twarzą zafrasowaną.

— Cóż ci Grzegorzu, ozwał się żartobliwie szczęśliwy marzyciel, czy na stare twoje lata uczysz się czoło marszczyć? Oj to my teraz za młodu się tego uczymy, a czego nasi ojcowie do późnej starości nie umieli!..

— Lepsze czasy, paniczu, lepsze czasy!

— Niewierz temu Grzegorzu! ot byłeś młodszym i kwita!

— *Taki* nie, paniczu, było lepiej, a gdy przyszła bieda, to człowiek jakoś się z nią porozumiał. Mój rodzic mi opowiadali, że tu niegdyś Tatarzy przychodzili, i ludzi w

jasyr brali. Otóż tak razu jednego przyszli do Dąbrówki, wszystkich pomordowali a dwór i gumna spalili. Jeden panicz tylko został, co był przy królu. I cóż robił gdy powrócił? Oto odpiął pałasz, zatknął w ziemię, wziął za rydel i siekierę, ludzie dopomogli, postawił szałas, a chwaląc pana Boga, sam chodził za sochą póty, póki za żytko i pszeniczkę z Gdańska tyle złota nieprzyszło, że znowu nowy dwór mógł stanąć. Ale dzisiaj, pożal się Boże, chowają paniczątka ni do tańca ni do różańca, a gdy trzeba z płaczu gębę skrzywić, to ono myśli o prochu i kuli, aby sobie w głowie lub w sercu dziurę wybić i tak płacz zakończyć!..

— Cóż ci to Grzegorzu dzisiaj tak język rozwiązało?

— A jakże to nie mówić, kiedy serce boli! Ot pochowaliśmy pana, a wkrótce trzeba będzie może pochować i panicza!

— A cóż to się stało?

— A nic się nie stało, tylko to, że panicza niema!

— Pojechał gdzie?

— A tak wyjechał, ale czy z Bogiem pojechał, czy... *a Słowo stało się ciałem...*

— Dla Boga, cóż to jest!

— Oto tak było: Jest temu sześć dni, kazał sobie panicz okulbaczyć siwosza i pojechał sobie. Już to mnie się nie podobało, że pojechał drogą na lewo od figury, tam gdzie to niegdyś szubienica stała, ale pomyślałem sobie: pan Bóg z nim, pojechał, przyjedzie. Za godzinę patrzę, niema, wylazłem na górę, poglądam wkoło, aż tu bieleje się coś tam na zamczysku! Odmówiłem trzy razy *Zdrowaś* boć to paniczu nie po katolicku było tam jechać! Tam mówią... *Wieczne odpoczywanie racz im dać...*

— I do tego czasu nie powrócił?..

— Gdzie tam niewrócił; wrócił, wrócił zdrowiuteneńki jak ryba!

— Cóż pleciesz stary?

— A tak dzisiaj stary zawsze *plecie*!

— Więc panicz był na zamczysku i nic więcej?

— Jakto nic więcej, kiedy go teraz niema!

— Mówiłeś że powrócił.

— Aj, aj, kiedy to człowiekowi świat się kręci, a panicz nie dacie się wygadać. Owóż tak było: panicz powrócił zdrowiuteńko, bo sam konia rozkulbaczyłem. Poszedł do oficyn, tam coś długo siedział, czytał, czy pisał, jak to dzisiaj panowie robicie, potem poszedł do parku, chodził w zad i w przód, wreszcie przyszedł do mnie i rzekł mi: Grzegorzu osiodlaj siwosza bo ja pojadę. A ja na to: A paniczu mój kochany, toć już wieczór zagląda, nawet na burzę się zanosi, a starowina siwosz także się już zmachał. Panicz nic na to nie powiedział, ale tak dziwno na mnie popatrzał, żem się zląkł. Miał łzy w oczach, a na twarzy był czerwony jak upiór. Nic nie mówiłem, tylko wyprowadziłem siwosza, a siadając rzekł do mnie: Ja tu przyjadę za dwa lub trzy dni, a gdy nadjedzie pan Robert, to niech na mnie zaczeka, albo do niego napiszę. Włosie mnie na głowie stanęło, odmówiłem sześćdziesiąt Ojczenasz, sześć Wierzę w Boga, i niewiem, ale coś mi szepcze do ucha, że to źle będzie. Siwosz grzebał nogą, a wrona aż pod kolumnadę przyszła!...

Robert przeczuł także coś niedobrego. Prędko udał się do oficyn.

W pokoiku Kazimierza leżały wszystkie rzeczy poprzewracane, widać, że czegoś szukał, coś wybierał, a zresztą rzucił, jakby nigdy już niemiał powrócić. W rozrzuceniu tem widać było jakąś gwałtowność, wiele popsuło się, potłukło, a wszędzie był bezład największy. Niebył to bezład lenistwa, ale byłto bezład uczuć nagłych i gwałtownych, ślady jakiejś nieodgadnionionej rozpaczy. Z przerażeniem obaczył Robert, że i pistoletów niebyło co nad łóżkiem wisiały.

Pod kupą rozrzuconych rzeczy ujrzał wreszcie na stole pamiętnik, w którym zwykł Kazimierz codziennie coś napisać. Niebyło tam żadnych tajemnic bo Kazimierz nie miał ich, a to co tam zapisywał, było Robertowi najczęściej znane. Były to wyciągi z dzieł przeczytanych, czasami mały szkic własnych myśli, a najwięcej zapiski wydarzeń dziennych. Tamto spodziewał się Robert czegoś dowiedzieć.

Wziął więc pamiętnik do ręki i zaczął czytać ostatni ustęp. Miał on datę z tego dnia, w którym Kazimierz wyjechał.

„...Wkoło mnie grób i zniszczenie, z pod każdej mojej stopy otwiera się ziemia, a tysiące umarłych wołają do mnie: I myśmy żyli, tak jak ty dzisiaj żyjesz, i myśmy marzyli, jak ty marzysz, a byliśmy szczęśliwi, jak ty nigdy niebędziesz!... A przecież wpadliśmy w grób, a lemiesz rolnika rozorał kości nasze!... potem niezapytał się świat, czyśmy marzyli, ale cośmy żyjąc zrobili!... O wyście marzyli jak ja, a ja niebędę tak szczęśliwym jak wy!... Praca, w pracy szczęście, o nie, owoc pracy naszej jest dopiero szczęściem, a kiedy ten zakwitnie, to już często przeboli, a my pożywamy owoc bez smaku!... Jest praca, której owoc dopiero za grobem dojrzewa, a my młodzi myślimy, że lada latorośl obdarzy nas tym owocem!... O ileż rozczarowań przebywa serce marzyciela, jak wędrowiec pustyni widzi on majaki oaz zielonych, daleko, daleko od niego oddalonych!... zdaje się, że dostanie je ręką, że kilka kroków jeszcze a w zimnym zdroju ugasi pragnienie, wtem zawyje huragan stepowy, bałwan piasku porywa go w suche, ogniste objęcia, i każdą porą ciała wysysa z niego ostatnie kropli wilgoci... póki nie zaświeci szkieletem! Wtedy będzie służył ludziom za drogoskaz. Widząc te białe, pruchniejące kości, rzekną ludzie do siebie: Nie schodźmy tam, boć tam idą i giną tylko szaleńce!...

Ach, praca jest skarbcem, jest oazą śród piasków, ale śród ciszy serca. Biada gdy w nim zerwie się burza, gdy

gwałtowny huragan zawieje, gdy człowiek uczuje moc skrzydeł, i wyżej wzlecić zapragnie... ach praca pozwala tylko pełzać, a nie latać, toż i my rozbiwszy pierś, wracamy z bolem aby cicho pracować... Cóż uderzyło o pierś moją cóż mnie zraniło?...»

Tutaj urwał piszący. Robert spojrzał na stołek i ujrzał otworzone „Nocy Younga”. Dziwnie rozruszane musiało być serce Kazimierza, jeźli takiego pokarmu zażądał. Ale co było ku temu dowodem? co go na tak dziwaczne myśli i kontemplacje przyprowadziło? Dlaczego właśnie wtedy naszły go podobne uczucia, gdy Roberta w domu nie było? na to nie umiał on sobie odpowiedzieć, nie umiał sobie zdać sprawy.

Wziął pamiętnik jeszcze raz do ręki, jeszcze raz przeczytał, zadumał się chwilę, ale żadnego nie znalazł wątku. Przeciwnie zdawało się, że na stronnicy tej pamiętnika była jakaś mjazma zaraźliwa, bo i Robert zachmurzył czoło, a grube dwa fałdy, które szybko od skroni do skroni przebiegły, były oznaką jakiejś smutnej kontemplacji. Po chwili wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, a stanąwszy przed owym fatalnym pamiętnikiem, rzekł do siebie:

Dziwnie ładne i prawdziwe myśli nachodzą umysł, gdy jest gorączkowo poruszony. Ileż to prawdy jest w tych kilku rzuconych myślach! Praca to raj na ziemi, jeźli w nim nie popełniamy grzechu żądz, nasz zakres przechodzących, bo w tedy staje się ona ową ziemią, rodzącą cierń i głogi, a ci co wtedy w pocie czoła pracować muszą, stają się czasem Kaimami!... Tak, ta jest sentencja tych myśli!... a dalej... „jest praca, której owoc dopiero za grobem dojrzewa!.... tak, tak... o znam tę pracę, znam ten zawód...»

Robert zamknął pamiętnik i położył na stole, jakoby się lękał płużej w nim czytać. Począł jeszcze prędzej chodzić po pokoju, a od czasu do czasu mruczał do siebie:

— O jest praca, znam tę pracę, za życia żadnych owoców, aż za grobem.... za życia żadnego szczęścia, tylko ubóstwo, nędza.... za życia żadnych uczuć... tylko zapoznanie, niezrozumienie..... a na grobowcu dopiero wieńce, ale nie... łzy!....

W tak smutnych kontemplacjach przepędził resztę dnia, to wypytując się o szczegóły odjazdu Kazimierza, to chodząc po zarosłych ulicach parku, rozbierając urywkowe myśli, z pamiętnika wyczytane. Jakaś grobowa atmosfera otaczała go wszędzie, jak na porosłem zwalisku jego chatki rodzinnej, tak i w arkadach śmiało rzuconych, dzisiaj obdartych i popękanych, wszędzie ten sam grób i zniszczenie!.....

Złowieszcze przeczucia nasuwały mu myśli najdziwaczniejsze, a do niepokoju o los towarzysza, przyczynił się nieodgadniony niepokój o własne marzenie. Wydawało mu się, że ów zawód, o którym napisał Kazimierz, że dopiero za grobem jego owoc dojrzewa, jest zawód jego, że pracy jego nikt za życia nie oceni, a on tymczasem przemknie śród wiru społeczeństwa, jak dotąd, nie znany, nie spostrzeżony!....

Cztery nudnych i smutnych dni upłynęło, a Kazimierza nie było widać. Od rana do wieczora stał pan Robert na końcu drogi topolowej, wyłaził na górę, patrzał, śledził, liczył ptaki przelatujące, dziady na drogach rozstajnych, ale Kazimierza nie było.

Wreszcie na piątym dniu, obawiając się czegoś złego, najął furę i wyjechał za śladem Kazimierza. Pierwszy ślad był, że pojechał drogą do miasteczka. W miasteczku dowiedział się u Szpigla, że Kazimierz tam nocował, nic do nikogo nie mówił, i rano gdzieś odjechał. Ruszył dalej za śladem, który znalazł w najbliższej karczmie, a po dwóch dniach błędnej jazdy, dowiedział się wreszcie, że Kazimierz udał się do pobliskiego zakładu wód mineralnych.

(C. d. n.)

CÓRA PIASTÓW.

I znowu chodźcie posłuchać ciekawie,
I znowu bitwę przed oczy wam stawię,
I znowu kreślę litewskie postacie
Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiednie!
Miękkie jak dzieci, gdy w domowej chacie,
Straszne gdy idą w krainy sąsiednie.
Nawet, niepomny obowiązków syna,
W niedobrej chwili kreślę ich oblicze,
Kiedy ich bojców skrwawiona drużyna
Wiedzie z sąsiady wojny napastnicze,
I w cztery strony czterma wiatry bieży
Dla brzydkiej zemsty, lub brzydszej łupieży.

Wstyd nie płomieni synowskiego czoła,
Że mych praojców łupieżcami zowią:
Czyż ich sąsiady, żyjące do koła,
Co wyznawały wiarę Chrystusową,
Lepsze poganom podawały wzory
Bratniej miłości i świętej pokory?
Kiedy zachodni rycerze, jak fala,
Zabijać Litwę dla odpustu płyną,
Zowiąc jej synów dziećmi Beliala,
Dzikim potworem i leśną gadziną;
Czegóż się dziwić, że gromada dziczy
Głowę podniesie i żądłem zasyczy,
Gdy krew bojową Kawas mu poruszy, *)
Kiedy go Perkun do zemsty poduszczy?
Bardziej się dziwić, gdy dziki syn puszczy
Słodkim uczuciom da przystęp do duszy;

*) Kawas — bóg wojny.

Gdy bałwochwalcy marsowa jagoda
Łzami czułości zaleje się hojnie,
Kiedy starcowi dłoń synowską poda,
Gdy uszanuje słabszego na wojnie,
Kiedy oszczędzi dla rycerskiej cześci
Głowę dziecięcia, albo wstyd niewieści.
Spytajcie wtedy: zkąd on cnotę bierze?
Gdzie on to widział? kto w nim ludzkość budzi?
Z kąd się nauczył?—pewno nie od ludzi!
Gdy doń Krzyżacy pukaią we wrota,
Wie, co go czeka od wyznawców Chrysta:
Starcom zaguba, niewiastom sromota,
Mężom kajdany i hańba wieczysta,
A chacie płomień a bogom zniewaga.—
Nikt nie wymodli, nikt się nie wybłaga!
I Litwin — srogi, gdy twierdzę zdobędzie,
Pluska się we krwi, nieoszczędza jęku,
A miecz i ogień, zniszczenia narzędzie,
Niedopuść Boże, widzieć w jego ręku!
Jednak wśród ognia, wśród jęków skonania
Uszy zatyka i oczy zaslania:
Bo mu potrzeba być sroższym od zwierza,
A on własnemu sercu niedowierza.
Żelaznym hełmem uzbrojona głowa
Lęka się dumek, co rozczulić mogą,
A dzielna ręka w godzinę złowrogą
Od bicia serca zadrzeć mu gotowa:
Oh! bo to serce bogowie odlali
Z miękkiego wosku i ze twardej stali.

(C. d. n.)

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

(Ciąg dalszy.)

Dziesięć dni minęło. Jasny i piękny poranek rozweselał cale mrowisko kąpielowe. Na placu przedłazienkowym snuło się mnóstwo białych sukienek, zawsze zgrabnych i pięknych, choć je teraz pokojówki tylko wietrzyły, suszyły i rozwieszały. Toteż zapewne dla wzbudzenia miłych pamiątek, wielu z młodzieży kąpielowej snuło się znowu pomiędzy sukienki. Czy dla sukienek samych? niewiem. A wszystkie sukienki takie lekkie, takie wiotkie, mimo wewnętrznego obicia watą, i rozmaitego nadziania misterjami toaletowemi. Są to przygotowania do balu oczekiwanego, który w kąpielach należy zawsze do zdarzeń najważniejszych.

W otwartem oknie pierwszego piętra okazał się najprzód sążnisty lokaj, otrzepał ponsowe, białemi sznurkami obszyte poduszki, i symetrycznie rozłożył je na oknie; poczem dopiero pokazał się nasz pan Felix, w szlafroku *nibyto* tureckim, bo rzęsiście kwiecistym, i w czapeczce *nibyto* patriotycznej, bo i amarantowa i w kształcie konfederatki zrobiona. Z długiej antypki o koralowej główce ciągnął kłęby wonnego holendra i dumał mocno, a był nadzwyczaj blady.

Że blady, nic dziwnego po całej nocy przehulanej, a że dumał mocno, przypisać należy nawalnym myślom, co mu się tłoczyły do biednej, myśleć nie bardzo przyzwyczajonej głowy. Pan Felix dumał nad tem: że Szpakowski i nieprzyjeżdża, i nic o sobie znać nie daje. Cóż tu zatem robić z romansem na piękne rozpoczętym z Julją? Dotąd zręczny żeglarz sterował jakoś między Scyllą i Charybdą; mało nawet bywał u niej, i tylko od czasu do czasu szeptał łatwowiernej dziewczynie:

— Najdroższa Juljo! chcąc ci dać dowód mojej uległości i cierpliwości, nie bywam u ciebie, by nie przekupić twego anielskiego serca litością nad stanem moim.

Jeszcze mu za to Julia dziękowala spojrzeniami, godnemi rymów i pędzla!

Jak na pana Felixa, była to dyplomacja dobrze wymyślana, bo jeżeli się uda we Lwowie, cóż mu kto będzie mógł zarzucić? wszak nie bywał u Julii. Jeżeli się zaś z Emilią nie uda? ma Julią zupełnie za sobą. Lecz to dotąd wystarczało; dziś już nie wystarczy. Dziś ostatni termin trybunału, bez wszelkiej delaty. Dziś zatem koniecznie trzesię zdecydować.

Łecz jak? w tem sęk!..... Porzucić Julii nie można, bo o Emilii żadnej niema pewności. W prawdzie przed kilką dniami był pan Felix we Lwowie, i nudził się obok panny Emilii cały wieczór jeden na operze, wzdychał czyli raczej ziewał, spoglądał czule, czyli raczej drzymał i całował, a ściskał aż do złamania chude jej rączki. Lecz dalej ani na jotę nie posunęły się zaloty jego, bo pan Kruczkiewicz wymówił sobie samowolne ukończenie tego małżeństwa.

Pójść zaś na bal i skończyć z Julią? jeszcze niebezpieczniej, bo nuż w tej samej chwili Kruczkiewicz kończy we Lwowie, i Szpakowski przylatuje krzycząc: „Zbieraj się, jedźmy, bo za dni czternaście czeka cię wesele i pięćdziesiąt tysięcy gotówki na stole.“

Silniejsza nawet niżeli pana Felixa głowa, uległaby takiemu passowaniu się myśli tem przykrzejszych, że ta właśnie różnica posagowa, i żądza za posagiem, który zdawał mu się pachnąć tuż pod nosem, wzmagały jego niecierpliwość i wahanie się.

Lecz o szczęście!.. wbiega listonosz.

— A cóż tam, jest co do mnie?

— Gazety!

— A listy?

— Są i listy.

— Dawaj nudziarzu! zawołał pan Felix zrywając się

z miejsca, aż antypka sypiąc popiół i iskry, wyleciała przez okno, i spoczęła na przechodzącej właśnie po pod okno Tereni, która ze skromnie spuszczonemi oczyma, i z książką do modlenia w ręku, wracała z kaplicy.

List od Szpakowskiego był następującej osnowy.

«Mon cher! Przegraliśmy bitwę. Szczęściem to jeszcze nie Waterloo dla ciebie. Kruczkiewicz dobijał targu, i żądał przedaży kamienicy lub wsi, aby spłacić długi na Wyżniowy. Stary głuchman sprzeciwiał się temu, i ofiarowała tylko pomieszkanie w kamienicy i 1500 złr. rocznie aż do swojej śmierci. Kruczkiewicz nie przyjął tej propozycyi, układy się przeciągały. Emilka pod wpływem Kruczkiewiczowej i twojej ostatniej drzemki sentymentalnej, w loży odbytej, przemawiała w naszym duchu.... Mieliśmy nadzieje! Nadzieja! coś tam bardzo pięknego gdzieś czytałem o nadziei.... ja wiem że to wielkie głupstwo!

Dosyć że nadzieja nasza pękła, jak próżna butelka, i Rakosia, oby do głuchoty przyszła jej jeszcze ślepota, napisała karteczkę do Kruczkiewicza, w której zrywa nagle wszelkie układy, i wymawia mu nawet dom swój. Co się stało?..,. niewiem.... A więc kończ z Julią! kończ czemprędzej, póki się nie rozejdzie wieść o lwowskiej porażce. Szturmuj z zapałem i rozpaczą kochanka w posagowej będącego potrzebie. Jak się tylko będę mógł uwolnić od interesów, przyjadę i będę ci wedle możności pomagał. Tout à vous.“ (C. d. n.)

W sprawie tygodnika warszawskiego.

(Ciąg dalszy.)

Autor tygodnika utrzymuje, że moje zdania «są niestety pełne błędów, oparte na powierzchownej znajomości nauki historycznej, która od owego czasu jakem się uczył, wielkie w odkryciach i krytyce zrobiła postępy.” Nie jestem z powołania historykiem, żyję dość długo, uczyłem już wtenczas drugich, kiedy zapewne jeszcze szan. autora tygodnika na świecie nie było. Nie wszystkiego nauczyłem się w szkołach. Obchodziła mnie zawsze i dotąd obchodzi literatura krajowa, mam to przekonanie, że aby coś umieć, trzeba się uczyć i pracować, robię co mogę aby niezchodzić z drogi postępu, a lubo bardzo dawno uczyć się zacząłem, przekonany jestem że do śmierci uczyć się potrzeba. Za dzień a nawet za tydzień historykiem, zwłaszcza polskim zostać nie podobna. Przyznaję że ucząc się i pracując wiele, mało umiem. Jeżelim się ośmielił poprawiać błędy tygodnika, błędy te zdały mi się tak rażącemi, że tylko dla mniej świadomych dziejów i literatury chciałem je sprostować. W głębokie badania historyczne wdawać się nie mogłem, bo ani miejsce, ani przedmiot nie nasuwał do tego potrzeby.

Chlubi się mój przeciwnik, że „najtroskliwiej unikać będzie namiętnego wysłowienia, nie naśladując napaści.“ Odwołując się do szan. czytelników Czasu, czy złośliwe i pogardliwe słowa, połączone z hańbiącemi pismo publiczne obelgami, nie są cechy całego wysłowienia XXIV. numeru tygodnika przeciw mnie wymierzonego. Zobaczymy co jest prawdziwego w wywodzie tygodnika i jak usprawiedliwił zarzucone mu błędy.

Znany jest zapewne czytelnikom, poetyczny utwor Deotymy, p. t. Tomira. Jest to mysteryum dramatyczne, do którego znakomita improwizatorka powzięła myśl z podań miejscowych a razem z opisu Długosza założenia klasztoru Benedyktynów i kościoła na Łysej górze, przez Bolesława Chrobrego za staraniem S. Emeryka, królewicza węgierskiego. Autor tygodnika zgorszony nieznajomością historyi Deotymy, w N. 14 Czasu r. b. zrobił zarzuty, że żaden z klasztorów za Bolesława Chrobrego u nas nie powstał, że klasztor Benedyktynów na Łysej górze założony był przez Kazimierza Mnicha, że za czasów Bolesława już nie było pogaństwa w Polsce.

Bez wielkiej znajomości krytyki historycznej, którą się autor tygodnika szczyci, można było te zarzuty odeprzeć. W moich uwagach odwołałem się do Długosza, jako kronikarza, na którego powadze wspierała się Deotyma; do dzieła Szczygielskiego *Aquila Polono-Benedictina* jako historyka Benedyktynów; do Naruszewicza, jako najściślejszego krytycznego badacza dziejów polskich, do wszystkich zresztą kronikarzy i dziejopisów polskich późniejszych od Długosza, którzy jednozgodnie twierdzą, że klasztor Benedyktynów na Łysej górze przez Bolesława wielkiego czyli Chrobrego był założony. Zobaczmy co tygodnik na ten wywód odpowiada.

„Na nieszczęście taż *Aquila Benedictina* ze stanowiska urzędowego, wręcz zadaje błąd recenzentowi, zamieściwszy bowiem kalendarz kościelny, obejmujący dnie przeznaczone na nabożeństwo za fundatorów zakonu i opiekunów kraju, na str. 28. dwóch tylko wymienia założycieli Benedyktynów; pod 11. kwietnia Bolesława Śmiałego a pod dniem 28 listopada Kazimierza I. O Bolesławie wielkim głuche tu milczenie. Ten dowód urzędowy ważniejszy od kronikarskiego, stanowi pierwsze potknięcie się recenzenta.“

Albo autor tygodnika dzieła, które przytacza nie widział wcale, albo go nie rozumiał, albo w obronie własnej chciał w błąd wprowadzić czytelników. Kalendarz, o którym mówi, nie ma na celu wykazania dni przeznaczonych na nabożeństwo za fundatorów zakonu; ale wskazuje dni przeznaczone na uczczenie świętych i błogosławionych polaków z zakonu Benedyktyńskiego, przez kościół kanonizowanych, albo od ludu za świętych tradycyjnie poczytywanych, nie mniej świętych Benedyktynów nie polaków, uznanych za patronów Polski. Jest tu także i św. Stanisław, z tego powodu że

miał zostać Benedyktynem. Co zaś do Kazimierza I. i Bolesława śmiałego, ponieważ jest tradycja, że pierwszy w młodości, a drugi w końcu życia był Benedyktynem, że pierwszy świątobliwością, a drugi surową zasłynął pokutą, dla tego nie tylko Szczygielski ale i Jaroszewicz w Matce świętych polskich jako cześć od ludu odbierających w Kalendarzu ich mieści.

Myli się autor tygodnika, że o Bolesławie wielkim czyli Chrobrym głuche w *Aquila Benedictina* milczenie. Przy opisie założenia klasztoru Benedyktynów na Łysej górze kart. 119 i 120, nie mniej klasztoru Sieciechowsktego Benedyktynów kart. 120, Bolesław Chrobry najwyraźniej wymieniony jest jako ich założyciel. Również na karcie 132 i 133 w spisie chronologicznym dziejów Benedyktyńskich rok 1006 wymieniony jest jako czas założenia klasztoru Benedyktynów i kościoła na Łysej górze, po zrzuceniu z góry trzech posągów bożyszczów pogańskich *Lada*, *Boda*, *Leli*. Pod r. 1010 wymienione jest założenie klasztoru Sieciechowskiego; były to lata panowania Bolesława wielkiego. Krytyczne badanie dokumentów Benedyktyńskich pokazuje, że są różne nadania, zrobione przez Bolesława W. Klasztorowi Tynieckiemu i Mogielnickiemu, dla tego Lelewel i te klasztory za fundowane przez Bolesława W. uważa. Autor tygodnika nie zna innych założycieli klasztorów Benedyktyńskich jak Bolesława Śmiałego i Kazimierza I., a przecież gdyby przejrzał dzieło Szczygielskiego, przekonałby się że klasztor Lubiński był założony przeż Mieczysława III., a klasztor Płocki przez Jana książęcia Mazowieckiego.

W dalszym ciągu wywodu przytacza autor tygodnika list Matyldy w. r. 1027 pisany, który nic nie mówi o założeniu klasztoru na Łysej Górze; a potem list ten na 13 lat przed wstąpieniem na tron Polski Kazimierza I. pisany, nie może być potwierdzeniem zdania autora. Piękna ta, i inne cytacje, ale cóż, kiedy zupełnie nie należą do rzeczy, i nie dowodzą tego czego tygodnik chce dowieść.

Co do przydomku Mnicha, już Naruszewicz, a za nim Czacki i Lelewel protestują przeciw podobnemu wykładowi miejsca kronikarza, którego latopisarzem Bolesława krzywoustego tygodnikowi teraz podobało się mianować a którego dawniej w Nrze 71 Czasu, najwyraźniej Marcinem Gallem nazywał. W miejscu przytoczonem wydania Bandkiego niema wcale wzmianki o nadaniu przez lud Kazimierzowi I. nazwiska Mnicha; lecz jest u Długosza str. 246. że Kazimierz: *Universali apellatione et consensu Instaurator pacificus et tum quidem vocitatus est, et in hæc usque tempora vocitatur*. Szan. autor tygodnika drwi z mojej nauki i dziwi się mojemu uprzedzeniu co do tego miejsca. Ja nic mojego nie powiedziałem; poszedłem ślepo za poszukiwaniami Naruszewicza, Czackiego i Lelewela. Lelewel samemu Niemcewiczowi nie przebaczył Mnichostwa Kazimierz i najsurowiej go za nie skrytykował.

Opuszczam następną uwagę, zarzucającą mi co do przytoczonych wyżej zdań wykrzywianie faktów historycznych prawie pomsty za to na mnie wołającego autora tygodnika. Zostawiam czytelnikom osądzenie, kto z nas fakta wykrzywia. Przechodzę do dalszego ciągu rzeczy.

W Nrze 71 Czasu utrzymywał autor tygodnika, że Lelewel będąc uczniem uniwersytetu, nie wiedząc jeszcze o wcześniejszym od Kadłubka dziejopisarzu, utworzył sobie Mateusza herbu Cholewa i przyznał mu pierwsze księgi kroniki Kadłubka, że dzieje Marcina Galla, które lat 700 w pyle zapomnienia leżały, wydał pierwszy raz Bandkie dopiero w r. 1827 czy 28 z wyjaśnieniem powodów ukrycia rękopismu w przypisku udzielonym przez biskupa Prażmowskiego. «Gdyby jednak Lelewel, są słowa tygodnika, w chwilach pisania rozprawy swojej o p. Mateuszu, wiedział o istnieniu rękopismu Marcina Galla, niebyłby zapewne poszukiwał dawniejszego od Kadłubka dziejopisarza, tym sposobem nie dałby Mateuszowi patentu na kronikarza.» Rozbierając to miejsce, starałem się udowodnić, że Lelewel wydając uwagi nad Mateuszem, nie był uczniem uniwersytetu, ale zasłużonym w dziejach pisarzem, że już poprzednio wydał wiele pism historycznych, że znał dobrze kronikę Marcina Galla i właśnie w rozprawie o Mateuszu 13 z niej zrobił wyjątków, że kronika Galla nie dopiero przez Bandkiego w r. 1827 czy 28 pierwszy raz wydaną była, bo ją w r. 1749 ogłosił drukiem w Gdańsku Gottfried Lengnich, a w r. 1769 powtórnie wydał Mizler de Kolof, że ją przełożył i wydał w języku polskim Hipolit Kownacki w r. 1821, że przypisek ks. biskupa Prażmowskiego, nie jest wyjaśnieniem powodów ukrycia rękopismu Galla, ale zawiera obronę ś. Stanisława przeciw temu kronikarzowi; że Bandkie ogłosił swoje wydanie Galla nie w roku przez tygodnik podanym, ale cztery lata pierwej; że kronikę tę znali wszyscy o dziejach polskich od lat stu piszący, że na niej głównie oparł krytykę pierwiastkowych dziejów famili Piastów Naruszewicz, że o niej osobną rozprawę napisał Czacki w r. 1801; że gdyby Lelewel, jak utrzymuje tygodnik, nie znał Galla, nie mógłby znać poszukiwań Naruszewicza i Czackiego, jednem słowem, niemógłby wcale pisać o historyi; że wreszcie sam Lelewel przed napisem uwag nad Mateuszem, pisał o kronice Marcina.

W wywodzie moim popełniłem jeden błąd, co do użycia przez Bandkiego rękopismu Kuropatnickiego: wytknął mi go szan. autor tygodnika. Nie bronię tego błędu, do omyłki przyznać się nie wstydzę, a choć zarzut ze złością i urąganiem został zrobiony, dziękuję za poprawę. Lecz autor tygodnika nie usprawiedliwiwszy ani jednego z zarzutów sobie zrobionych, wpadł na głęboką rozprawę historyczną, która do rzeczy nie należała. Idąc za zdaniem Kownackiego, który przed 35 latami pisał o rodzie i nazwisku Galla, (a który mówiąc nawiasem, nie tęgim był krytykiem historycznym, który natworzył urojonych kroni-

karzy, jakoto: Prokosza, Kagnimira i t. d., i popełnił wiele błędów w napisanych przez siebie dziejach księztwa mazowieckiego) odrzucił wszelkie nazwiska tego dziejopisa, i nazwał go latopisarzem Krzywoustego. Po Kownackim zmieniano wyobrażenia o rodzie i nazwisku Galla, ale go nigdy bez nazwiska późniejsi krytycy nie zostawiali. Dalej zarzuca tygodnik, że wydanie Lengnicha i drugie po nim Mizlera, żadnego nie wywarło wpływu na pogląd filozoficzny dziejów. Nie bronię błędów tych wydań, lecz tekst ich za nic poczytanym być nie może, kiedy posłużył Naruszewiczowi do sprostowania wielu błędów późniejszych kronikarzów. Najważniejszym z uchybień tych wydań, jest wyrażenie względem mnichostwa Kazimierza, które już Naruszewicz sprostował; na ten błąd przecież autor tygodnika nie powinien był tak bardzo nastawać. Wdawszy się w głębokie ocenienie Lelewela na zasadach przedmowy do dzieła: «Narody na ziemi sławiańskiej,» zarzuca mi autor tygodnika, że niewiem o kolejach wyrabiania się Lelewela na wielką znakomitość historyczną. Cokolwiek za śmiały zarzut, nie dałem do niego powodu. Jeżelim całej osnowy życia Lelewela w moich uwagach nad tygodnikiem nie przytoczył, nie widziałem tego potrzeby; wymieniłem tylko te z pism Lelewela, które poprzedziły wydanie rozprawy o Mateuszu, za pracę stadencką przez autora tygodnika ogłoszoną. Nie wiem jak mój przeciwnik tłumaczy zdanie przez siebie przytoczone Lelewela o tej rozprawie, iż w niej *rozdmuchiwał wątpliwe widma*; ale mnie się zdaje iż sam o sobie mówi, iż wyjaśniał początki dziejów naszych i znosił niepewności.

Odczytanie samej rozprawy nauczy, co to są za widma. Nigdy się Lelewel rozprawy o Mateuszu nie wstydził. Kiedy do wydania Polski średnich widków, wyszłej w Poznaniu w 4. tomach, w latach od 1846 do 1851. wszystkie inne pisma swoje poprzerabiał i pouzupełniał, rozprawę o Mateuszu pozostawił w całości, kilka tylko małych do niej przydał notek, broniąc się przeciw robionym zarzutom. W rozprawie: »pisarze dziejów polskich przed Długoszem«, prawie w całości teraz nowo wypracowanej, Mateusz poczytany za osobnego dziejopisarza i jemu znaczna część rozprawy jest poświęcona. We wszystkich innych dziełach, mianowicie w rozprawie: „O związkach z Niemcami królów polskich i ich tytule królewskim.« „Zdobycze Bolesława Wielkiego«. “Oświecenie i nauki w Polszcze za Piastów“, Mateusz jest często cytowany; a rozprawa: „Bolesława Szczodrego upadek”, zawiera ciągłe porównanie tekstu Mateusza z Gallem, pisarzem żywota św. Stanisława i innemi kronikarzami. Utrzymywałem dawniej i teraz powtarzam, że można co do Mateusza być odmiennego od Lelewela zdania, lecz lekceważyć go i za błędne bez dowodów poczytywać go się nie godzi. Niech mi szan. autor tygodnika wierzyć raczy, że pisma Lelewela odnoszące się do dziejów naszych znam nie od dziś dopiero, że zacząwszy od rozprawy o Mateuszu czytałem je w epoce zjawiania się, że wiem jak się wykształcał na znakomitość historyczną nie z samej tylko przedmowy do dzieła: «Narody na ziemi słowiańskiej”, ale z następstwa dzieł i różnicy jaka zachodzi między ich pierwiastkowem wydaniem, a następnem i ostatecznem przerobieniem. Kiedy się oskarża kogo o niewiadomość, trzeba tę niewiadomość udowodnić, inaczej zarzut uważany być może za uwłoczenie, za potwarz. Autor tygodnika żadnego z zarzuconych mu błędów nieusprawiedliwił, a jednak tryumfuje z swojej erudycyi i słowami wzgardy dla tego który mu wykazał niczem niezbite jego błędy, chce udowodnić swoją uczoność.

Po tem co się powiedziało, nie mam już chęci wchodzić w rozbiór dalszych wywodów; aby jednak nie sądzono, że tu może moja słaba strona, o reszcie zarzutów tygodnika krótko namienię. W N. 111 Czasu tygodnik warszawski opowiadając życie Konarskiego, utrzymuje, że mąż ten znakomity był uczniem instytutu, założonego w Nancy przez króla Stanisława Leszczyńskiego, a po ukończeniu tam nauk powrócił do kraju, a powrócił w chwili, kiedy OO. Jezuici owładnąwszy edukacją młodzieży, stali się panami na polu szkolnictwa.» W uwagach moich nad tą wiadomością starałem się okazać, że Stanisław Leszczyński w r. 1737 objął w posiadanie księstwo Lotaryńskie, że szkołę w Nancy później założył, kiedy Konarski będąc w r. 1727 profesorem wymowy w najpierwszej szkole rzymskiej, *Collegium Nazarenum* zwanej, był już założycielem sławnego konwiktu w Warszawie, od jego nazwiska biorącego miano, a zatem nie mógł być uczniem założonej przez króla polskiego szkoły w Nancy; że Jezuici nie dopiero wtenczas i nie sami jedni utrzymywali szkoły i władali wychowaniem młodzieży. Opowiada dalej że Konarski napisawszy dzieło przeciw Jezuitom, uzyskał naprzód zatwierdzenie tego dzieła przez naczelnika swojego zgromadzenia, a dalej wyjednał na nie approbaty od naczelników wszystkich innych zakonów, z któremi udał się do naczelnika zakonu Jezuickiego, a od niego, zajętego innemi czynności, na wiarę uzyskanych zatwierdzeń, otrzymał approbatę na wydrukowanie tegoż dzieła; że taż approbata naczelnika Jezuitów wraz z wszystkiemi innemi, ma być załączoną do wydrukowanego pisma. Prostując to opowiadanie starałem się udowodnić, że dzieło o którem mowa *de emendandis eloquentiae vitiis* nie jest przeciw Jezuitom wymierzone, że w nim autor rozbiera dzieła nagany godne swojego czasu, że własnym, pierwiastkowym nie przepuszcza pismom, że najmniej pomiędzy rozbieranemi było pism Jezuickich; a że to były rzeczy najwięcej duchowne, obowiązany był nie tylko się postarać o cenzurę teologów i prowincjatu swojego zakonu, ale i o zatwierdzenie władzy dyecezalnej, jakoż najjaśniej wyraziłem, że przy tem dziele prócz approbat pijarskich znajduje się approbata teologa czyli cenzora dyecezalnego, (którym był ks. Śliwicki, wizytator xx. Missyo-

narzy) zatwierdzona przez biskupa miejscowego (którym był Teodor Czartoryski, biskup poznański.) Autor tygodnika zaprzecza temu twierdzeniu i bierze te zatwierdzenia, (gdyż żadnych innych przy dziele nie ma) za zatwierdzenie Jezuitów i wszystkich innych zakonów. Czy jedno za drugie brać można, łaskawi czytelnicy osądzić raczą.

Dla sprostowania mylnie powziętej powiastki, podałem wiadomość o dziele Konarskiego: „O skutecznem rad sposobie,“ które przygotowało umysły do zniesienia gubiącego kraj *liberum veto*, i jakim sposobem uzyskał Konarski potwierdzenie zasad w tem dziele zawartych przez najpierwszych dygnitarzy, senatorów i obywateli kraju, że te właśnie potwierdzenia, których jest nie mało, są ogłoszone przy dalszych tomach dzieła o którym mowa. Wspomniałem następnie, że w skutku oświecenia kraju przez to pismo, w rok po jego wydaniu, *liberum veto* na sejmie konwokacyjnym r. 1764, bez sprzeciwieństwa zniesionem zostało. (D. n.)

Rozmaitość.

* Księgarz wileński Maurycy Orgelbrand przygotowuje do druku *Nowy Słownik języka polskiego*, wypracowauy na zasadzie istniejących dotychczas słowników Lindego i t. d. który oprócz tego uzupełniony być ma wszystkiemi znanemi w ustnej i pisanej mowie wyrażeniami nie objętemi dotąd przez żadne słowniki, nomenklaturą wszystkich nauk, prowincyonalizmami i t. d. Na czele tego przedsiębierstwa stoją *Alexander Zdanowicz* profesor historyi, *January Filipowicz* redaktor niegdyś pisma *Lud i Czas* i Michał Bohusz Szyszko. Pan Orgelbrand wzywa wszystkich, zajmujących się językiem polskim którzyby mieli jakowe notaty do słownikarstwa polskiego, aby mu takowych udzielić raczyli. «Nie wątpimy, mówi wydawca, że mające się nam udzielić od pojedyńczych osób *materiały*, zajma nie jednę kartę w naszym Słowniku, zobowiązując nas, za ulżenie w nader mozolnej pracy, do jak najszczerszej wdzięczności. Naturalną jest rzeczą, że na udzielenie nam materjałów o tyle tylko czekać będziemy, o ile czasu na uporządkowanie naszych własnych stanie, a czas ten nie potrwa długo. Jeśli przeto ktokolwiek przybyć nam w pomoc zechce, prosimy o pośpiech w nadsyłaniu materiałów pod adresem podpisanego, pocztą lub za pośrednictwem P. S. Orgelbranda w Warszawie.

Wrazie gdyby komu było dogodniej, to przesyłki odbierze księgarnia Kallenbacha i zajmie się przesłaniem takowych do Wilna do wydawcy.

* Na cześć urodzin Cesarzewicza Jego Mości Karola Ludwika, które 30 b. m. przypadają, wyprawi towarzystwo strzeleckie wielkie strzelanie do celu następującej Niedzieli i w Poniedziałek.

Przyjechali od dnia 24. do 25. Lipca do Lwowa.

PP. Krzeczunowicz Ignacy, z Jaryczowa. Starzyński Leopold, hr. z Mszanicy. Gottlieb Kwiryn, z Dołhomościsk. Rodakowski Zygmunt, ze Stanisławowa.

PP. Michalski Antoni, z Niedzielska. Christiani-Kronwald Teodor, z Krakowa. Pinkas Frydryk z Żółkwi.

Wyjechali od dnia 24. do 25. Lipca ze Lwowa.

PP. Karnicki Teodor, hr. do Michałowiec. Januszewicz Stanisław, do Ubinia.

PP. Batowski Alexander, do Kulikowa. Onyszkiewicz Fortunat, do Borusowa. Łoś Włodzimierz, hr. do Gajów. Siegel August do Sambora. Krasicki Edmund, hr. do Bartatowa. Schmid Hieronim, do Szkła.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	122	Pożyczka 5%	77¹¹/₁₆ —
Hamburg za 100 tal. banco	88½	Akcye banku	972
Londyn za 1 funt szterl.,	11 47	Kolej północna	2012½
Medyolan za 300 lirów	120½	Obl. ind.	72
Paryż za 300 franków .	142½	Nowa pożyczka z loterya	100¼
Agio duk. ces. . . .	26	Pożyczka narodowa . .	82¹³/₁₆

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	36	złr.	5	kr	40
Dukat cesarski	«	5	»	39	»	5	»	48
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	42	»	9	»	46
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	52	«	1	»	53
Talar pruski	»	1	«	47	»	1	«	48
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	22	»	1	»	23
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	40		94	»	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	»	45	»	70	«	10
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	—	»	84	»	—

Do Handlu podpisanego nadszedł (97 11—12)

świeży transport

HERBATY

chinskiej.

Fryderyk Schubuth.

Na Rynku pod Nr. 173 przy księgarni p. Wilda.

W księgarni **J. Milikowskiego** we Lwowie, jest do nabycia:

Nowy Ekonom wiejski

czyli szkoła porządnego wykonywania głównych robót w roli narzędziami zaprzęgowemi udoskonalonemi lub dawnemi, z oszczędzeniem czasu i wydatku

przez

Maxymiliana Żelkowskiego

b. profesora praktyki rolniczej i prawa wiejskiego w szkole Grignon.

(133) Kraków, 1855. Cena 2 złr. m. k. (3—3)

Gramatyka

polsko - francuska Ollendorffa,

czyli sposób nauczenia się czytać, pisać i mówić tym językiem w 6 miesiącach, wydane przez J. J. Szczepańskiego, nauczyciela pol. języka w c. k. akademii techn. we Lwowie, wyszła właśnie z druku. Egzemplarz kosztuje 3 złr. m. k. Klucz czyli poprawne tłumaczenie francuskie ćwiczeń zawartych w gramatyce już się drukuje. (136 1—2)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**